

Odgłos hamowania parowozu wyrwał mnie ze snu. Odkąd jechałam nimi po raz pierwszy, maszyny te stały się komfortowe na tyle, aby zasnąć.

Jedenaście lat temu płakałam i wpatrywałam się tępo w ściany przedziału. Zostałam wtedy porwana przez pewną wiedźmę, która nazywały mnie Księżniczką Demonów i córką Morrigan. I pod tymi imionami niemal czciła, jednak trzymała w zamknięciu. Przez lata jedyne co znałam to posiadłości na odludziu i przemienianie niewinnych ludzi w demony.

Przez cały ten czas moim jedynym pragnieniem była ucieczka. Od siebie, od wiedźmy, od potworów, od wszystkich zmiennokształtnych, zaklinaczy żywiołów i nieśmiertelnych, których stworzyłam. Latami przemieniałam niewinnych ludzi w armię demonów, sama będąc tylko narzędziem w rękach Payton, mojej porywaczki, czystokrwistej naturalnej wiedźmy. Napotkała ona jednak jeden problem na swojej drodze.

Moje serce umierało, a ona nie miała na to lekarstwa. Choroba rozwijała się bardzo szybko. Zaczęto nakładać na mnie magiczne pieczęcie, starożytne runy i wszelkie możliwe czary, by utrzymać mnie przy życiu. Moje piękne, niegdyś bujne blond loki, wyblakły od braku zadbania i choroby. Gdy mieszkałam jeszcze z ojcem, miałam służbę specjalnie przydzieloną do opieki nad włosami. Teraz byłam chuda, blada i umierająca.

Parowóz znów ruszył, powoli się rozpędzając, Zmiennokształtny pilnujący mnie w przedziale zachwiał się. Soczyście przeklinając, przypomniał mi o swoim istnieniu. Naprzeciwko mnie siedział, jak zawsze, Labraid, pierwsza ofiara moich przeklętych mocy. Gdy oboje mieliśmy jeszcze cztery lata, bawiliśmy się w chowanego. On był synem jednej z pokojówek. Już nie pamiętam, co dokładnie się stało. Wrył mi się w pamięci jedynie tępy wyraz jego twarzy i omdlenie, po którym obudził się o dwadzieścia lat starszy. Od tamtej pory nie postarzał się nawet o dzień i nie odezwał się słowem do nikogo oprócz mnie, a i to tylko na osobności. Payton określiła go jako nieśmiertelnego i w swoim wątpliwym poczuciu humoru nazwała go Labraidem, czyli po irlandzku *mówcą*. Będąc jednym z wiecznych, posiadał umiejętność przenoszenia rzeczy siłą umysłu. Nigdy mnie nie opuścił, został nawet, gdy zaczęły się dziać inne przerażające rzeczy.

Tydzień po ujawnieniu się mojego daru, podczas zabawy lalkami z Conwenną, starszą ode mnie o 7 lat córką sąsiadów, musnęłam swoją dłonią jej rękę. Dziewczyna zamarła w miejscu, jej oczy stały się puste. Dostała drgawek, zwymiotowała i przeobraziła się w małego wilka, wyjąc z bólu, stała się sową, i powróciła do postaci człowieczej, plując krwią. Zmieniłam ją w zmiennokształtną - mogła być każdym stworzeniem, lecz popełniła samobójstwo ze strachu przed własną mocą.

Następna była moja gosposia Edana, która chciała zaciągnąć mnie siłą na obiad, łapiąc przy tym nieopatrnie za mój nadgarstek. Wbiła oczy w pustkę, gdy cały pokój stanął w płomieniach. Po chwili ogień zgasł, a Edana popatrzyła na mnie jak na szatana. Od tamtej pory była ona Zaklinaczką Ognia. Uciekła z posiadłości mojej rodziny jeszcze tego samego dnia.

Wtedy Labraid postanowił zostać moim lokajem, chodził za mną jak cień i pilnował, aby nikt nie zbliżał się do mnie na tyle, by mnie dotknąć. Przez pięć lat nie dokonałam żadnego

Uwolnienia. Wtedy pojawiła się ona, wiedźma Payton. Zdołała magią uśpić cały pałac. Porwała mnie i Labraida. Zakuła nas w kajdanki i przewiozła parowozem do posiadłości gdzieś w Walii. Szybko zaczęła wykorzystywać mój dar, co przyciągnęło uwagę innych, o wiele starszych demonów, które powstały bez mojej mocy. Ponoć były znacznie silniejsze, bo ich moc uwolniła się samodzielnie.

Teraz, gdy moja choroba częściej daje o sobie znać, dużo podróżujemy w poszukiwaniu leku. Nie zanoszę na nic dobrego. Naszym aktualnym celem jest Manchester. Ponoć tu mieszka najlepszy alchemik w Europie, który wykona dla mnie mechaniczne serce. Ostatnio w Paryżu dawano mi do jedzenia świńskie i ludzkie serca, lecz, jak można się domyślić, kuracja nie pomogła.

Niestety, teraz ucieczka jest bezcelowa. Bez odnawiania pieczęci i run na moim ciele nie będą one działać, co spowoduje śmierć w przeciągu dwóch dni. Na ucieczkę poczekam, aż mnie ulecą, lub umrę w tej niewoli.

Pamiętam twarze wszystkich ludzi, których zmieniałam w demony. Było ich stu trzydziestu czterech. Głównie zaklinacze żywiołów. Każdy z nich budził w sobie jeden żywioł: wodę, ogień, powietrze lub ziemię, kilkudziesięciu Zmiennokształtnych, przybierających postaci zarówno ludzi jak i zwierząt, paręnaście nieśmiertelnych, o różnych paranormalnych mocach, od telekinezy po czytanie w myślach i latanie, oraz wiedźm panujących nad roślinnością i rzucających dziwne zaklęcia. Część dołączyła do Payton, ale nie każdy. Wszyscy Nieśmiertelni zniknęli zaraz po przemianie. Został tylko Labraid. Zaklinacze i czarownicy przystali do wiedźm, nawzajem ucząc się panowania nad swoimi mocami. Zmiennokształtni potworzyli watahy i sfory, oddzielając się od *organizacji Lilith*, jak Payton nazwała swoje zgromadzenie demonów. Była jedyną osobą, z którą oprócz Labraida mogłam rozmawiać, a on nie należał do ludzi gadatliwych, więc zawsze uważnie słuchałam wiedźmy. Często tłumaczyła mi, że Bogini Morrigan istniała we wszystkich wierzeniach, przybierając różne imiona: od Lilith, Królowej Demonów, Morgany, po Agasayę i Esharę, pozostając panią wojny, krwi i Królową Demonów, *naszą królową*.

Opowiadała mi też historię o tym, jak mój ojciec, bogaty właściciel ziemski, którego już nie pamiętam, z desperacji i strachu na moje narodziny przyprowadził czarownicę. Skąd mógł wiedzieć, że była ona tak mało doświadczona, i z braku wiedzy, zamiast uzdrowić mnie i moją matkę, popełniła błąd w wymowie i wezwała Morrigan, bogini wojny i krwi, Królową Demonów? Kapryśna bogini, widząc tak słabe i małe stworzenie zadające tak wielki ból i powolną śmierć swojej matce, naznaczyła mnie swą córką, zabijając przy tym zarówno matkę, jak i nieszczęsną wiedźmę. Po śmierci mojej rodzicielki, ojciec zostawił mnie w naszej rodzinnej posiadłości razem ze służbą, oddając się żalowi po utracie ukochanej.

Kiedy wysiadaliśmy z powozu, ukazała nam się wielka kamienica z czerwonej cegły. Okolica była opustoszała, sprawiała wrażenie niezamieszkałej. Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, nadało krwisty połysk całej ulicy.

- To zły znak - mruknęłam smętnie

Na progu budynku stał wysoki, żylasty mężczyzna, o gęstej brodzie przeplatanej siwizną. Grzecznym gestem zaprosił nas do środka, mówiąc:

- Witam. Kogo pan doktor Padern ma za zaszczyt gościć? - to musiał być ktoś ze służby, może lokaj?

- Jestem Payton, a to Malvina, Sima i Labraid.

Po przedstawieniu i zdjęciu płaszców, wypiliśmy słabą herbatę w lekko zapuszczonym salonie, czekając na gospodarza. Gdy się pojawił, Payton zaczęła:

- Jak wiesz, jesteśmy Organizacją Lilith i...

- Jesteście *tą* Organizacją Lilith, czekałem na was tak długo! Doktor Padern, Alchemik amator, były dziedzic Kornwalii.

Alchemik-amator, powiadasz? On się przynajmniej przyznał, poprzednich osiem mówiło, że są bardzo doświadczeni i wyedukowani. Dwóch przyśpieszyło moją chorobę, jeden z nich zabił przy tym pięć osób.

Payton odchrząknęła, drapiąc się przy tym w swój długi nos. Naiwna myślała, że robi to dyskretnie, ale ja już za dobrze znam jej odruchy.

- Drogie doktorze Padernie, jak pisałam w listach, mamy problem z sercem Simy i potrzebujemy pomocy wyedukowanego lekarza i jednocześnie Moriganisty, a tych jak na lekarstwo.

Padern zaprowadził nas do Sali pełnej lamp, lustek i lśniących stalowych narzędzi. Na środku stało małe, lecz wyjątkowo wysokie łóżko bez prześcieradeł i kołdry.

- Jak panie widzą, Sala Operacyjna jest wybitnie nowoczesna i czysta. Prawdopodobieństwo niepowodzenia jest minimalne.

- Robił pan to kiedyś? - spytała Malvina jedna z czarownic, nowa prawa ręka Payton.

- Dwa razy, lecz nigdy z pomocą magii. Raz się prawie udało.

Nie miałam siły by słuchać i przejmować się tym, o czym rozmawiają, bo pieczęcie na moim ciele i znajdujące się w moim organizmie specyfiki fundowały mi całkowite odurzenie. Mdląłam i jednocześnie byłam całkowicie odurzona.

Obudził mnie stukot trybików we własnym ciele, obudziło mnie moje mechaniczne serce. Byłam w stanie samodzielnie podnieść się z łóżka, pierwszy raz od dwóch miesięcy. Z dnia na dzień rosłam w siłę. Znowu biegałam, skakałam, mogłam się śmiać, bez napadów duszności i zasłabnięć.

Doktor Padern był dla mnie miły, interesowało go głównie moje zdrowie, nie moce. Podczas pobytu w Manchesterze czas spędzałam głównie w ogrodzie i szklarni. Okazało się, że rosły tam moje ulubione owoce. Krzaki malin były w każdym zakątku. Podobno były one zaczarowane i rodziły owoce cały rok, ale tylko te w szklarni.

Uwielbiałam ich słodki, a jednak kwaskowaty smak, ich wyrazisty, różowawy kolor. Gdy byłam młodsza, zaraz po porwaniu nie chciałam niczego jeść. Dopiero po dłuższym czasie, gdy Payton odkryła, że wykradam się do ogrodu zbierać maliny, zaczęła mi przynosić je do pokoju, a ja nie mogłam się oprzeć pokusie. Potem zapomniałam już, czemu nie chciałam jeść.

Podróżowanie parowozem zaczęło mi się podobać. Rozmyte drzewa w oknie, wygniecione siedzenia i dobra herbata. Na drogę od Paderna dostaliśmy maliny.

W naszym przedziale siedziałam tylko ja i jakiś nowy zmiennokształtny. Nim się zorientowała, ten chciał się na mnie rzucić, zmieniając się w wilka. Do przedziału wpadł Labraid ze sztyletem niewiadomego pochodzenia w ręce. Rzucił go mnie, sam do obrony używał ostrza ukrytego w lasce.

Bestia rzuciła się na mnie, nadziewając się na sztylet. Przeszył mnie palący dreszcz satysfakcji, gdy w oczach zmiennokształtnego zgasło życie i przemienił się w człowieka. Cały czas przygniatał mnie swoim ciałem. Jego krew wypływała strumieniem z rany na piersi, przez co moja biała niegdyś sukienka wyglądała dokładnie tak, jakbym znowu wróciła ze zbierania malin w szklarni.

Podniosłam się z podłogi, patrząc na zakrwawione ubranie. Wiedziałam, że wolność będzie dużo kosztować. To była jedynie obrona własna. W dodatku po tylu latach byłam w stanie zapłacić każdą cenę, aby przeżyć i stamtąd uciec.

Pociąg ponownie się zatrząsł, a mi zrobiło się słabo. W ostatniej chwili zanim runęłam na podłogę, złapał mnie Labraid i usadził na siedzeniu.

Trybiki w moim sercu zaczęły niepokojąco cykać i turkotać, zrobiło mi się gorąco, w piersi kłuło mnie jak diabli, a palce u stóp i rąk nagle zaczęły marznąć i drętwieć.

Nie umiałam złapać oddechu, aż skuliłam się, czując nadchodzący ból mięśni. Widziałam jak moje ręce zamieniają się w skrzydła, a nogi w łapki z trzema palcami. Sukienka spadła ze mnie, zaczęłam się w niej plątać.

Mięśnie odrobinę mnie bolały, ale poczułam się wolna. Próbowałam wzlecieć, ale nie udało mi się, trzepotałam skrzydłami zbyt niezdarnie. Na moment uniosłam się, po czym raptownie opadłam na podłogę. Brak mi było równowagi. Nagle poczułam się, jakby ktoś

mnie podpalił. Płonęło wszystko, kości, skóra, nawet pióra aż po zakończenia lotek zdawały się palić żywym ogniem.

Całe ciało przeszły drgawki, a mechaniczne serce znów zastukotało. Leżałam na ziemi jako człowiek, była sobą, ale znów chciałam się stać ptakiem.

- Sima, byłaś jaskółką - Labraid powiedział to ze skrępowaniem, usilnie próbując na mnie nie patrzeć, ale byłam naga, więc pokusa była zbyt silna.

- Zabiłam człowieka, ofiarę moich mocy, ofiarę Payton, choć na to nie zasłużył.

- Jego krew na twoich rękach, jego moc do twych usług. Gdybyś ty go nie zabiła, on by cię zabił. Uważał, że twoje moce zachwiały równowagę i tylko twoja śmierć ją przywróci. Jego myśli krążyły wokół tego, że źle wykorzystujesz dar.

- Jakbym miała wybór – prychnęłam.

Gdy dojechaliśmy do siedziby organizacji Lilith, mój plan ucieczki był już w trakcie realizacji. Polegał na opanowaniu mocy zmiennokształtnej, ćwicząc je dwa razy dziennie. Okazało się, że moce Księżniczki Demonów nie znikły, mimo nabycia nowych. Zaczynałam czuć swojego rodzaju władzę.

Nie chciałam angażować w to wszystko Labraida, ale bez niego miałam większe szanse na ucieczkę. On znał tok mojego rozumowania. Zналиśmy się niemal od zawsze. Minęło tyle lat, odkąd byłam tam uwięziona, i byłam gotowa poświęcić wszystko.

Dwie noce wcześniej wiedźma Malvina zarzekła się Payton, że znalazła idealną pieczęć, która pozwoli mechanicznemu sercu być w pełni częścią mnie. Która pozwoli mi stamtąd odejść.

Owinięcie sobie Labraida wokół palca będzie proste, chyba. Nie mam żadnego doświadczenia w flirtowaniu i uwodzeniu, ale manipulowanie ludźmi idzie mi całkiem dobrze.

Pokój Labraida znajdował się na trzecim piętrze. Mogłam tam chodzić tylko raz w tygodniu, kiedy szła ze mną Malvina. Teraz potrafiłam wymknąć się sama tak, żeby nikt nie zauważył. Stałam się osą i wleciałam do jego pokoju. Leżał na łóżku, jego kruczoczarne włosy w nieładzie zakrywały bladą twarz, jedynie brązowe oczy jak szklane paciorki połyskiwały zza ciemnych kosmyków.

Czy ja naprawdę mogłam mu to zrobić? Całkiem oszukać, a potem zostawić na pastwę losu Payton?

Zmarnowałam tu jedenaście lat życia, przypominał mi głos żalu w umyśle. Sytuacja wymaga poświęceń, wielkich, ale potrzebnych.

- Sima, wiem, że tu jesteś - odezwał się.

Wcielanie się w inną postać odczuwałam jakby ciało zmieniło się, a dusza nie pasowała do niego. Jakby ciało było naczyniem na duszę, która czasem nie wypełnia go nawet do połowy, a czasem się z niego wylewa.

Gdy dotarł do mnie sens tych słów, przemieniłam się w człowieka. Leżałam teraz naga na ziemi.

- Skąd wiedziałeś? - zapytałam, zalotnie się uśmiechając. Ponownie byłam naga w jego towarzystwie.

Chłopak nic nie powiedział, tylko podniósł się z łóżka, wyciągnął rękę w stronę szafy. Wyleciała z niej duża, biała koszula, którą złapał w locie jedną ręką i nakrył mnie nią.

Szybko zastanowiłam się nad sposobem, w jaki mógł się zorientować, i powodem, przez który jest taki zachmurzony.

- Tylko nie... - zaczęłam zdezorientowana.

- Tak właśnie.

- Nie mówiłeś, że umiesz czytać w myślach.

- Po pierwsze nie pytałaś, a po drugie zrobiłem to właśnie dla tej miny. Sima, ubierz się wreszcie w tę koszulę, to nie kołdra żeby się nią nakrywać. Musimy porozmawiać - powiedział, po czym się odwrócił.

Świadomość, że Labraid wie, budziła we mnie poczucie winy, wstręt do samej siebie.

Usiadłam koło niego na łóżku.

- Nie karz się za egoistyczną chęć ucieczki z tej złotej klatki. Za ładny z ciebie słowik, żeby tu zgnieć. Twój plan był dobry, ale niedopracowany. Zacznijmy od tego, że nałożenie pieczęci Malviny cię osłabi, a po ucieczce stąd musisz się kilka razy przemieniać. Ludzki wygląd zmieniaj także, co do zwierzęcego - wybieraj słowiki, koty, psy, raczej domowe, żeby ludzie nie chcieli zabić cię przypadkiem dla mięsa lub łupu. I na Lilith, nie musisz mnie omamiać, jestem ci wierny jak pies od jedenastu lat. I to się nie zmienia, kiedy mnie opuścisz - jego monolog był nadzwyczaj rozbudowaną radą jak stąd uciec.

- Labraidzie - uniósł brew, czekając na moją reakcję - Chyba nigdy, odkąd się znamy, nie wypowiedziałeś tylu słów na raz.

- Żeby chociaż połowa do Ciebie dotarła - jego mina odzwierciedlała pełne zwątpienie.

- Mogłam robić notatki.

Walijska jesień była łatwa do pomylenia z zimą, w szczególności rano, gdy szron osiadał niemal wszędzie. Lodowaty wiatr zmroził i tak gęsta już atmosferę.

Payton, Malvina i trzech zaklinaczy zagradzało mi przejście. Znajdowaliśmy się na polanie. Za ich plecami stała szeroko otwarta brama – brama, za którą istniało nowe, lepsze życie.

- Ale uważajcie, nie zabijcie jej! - upomnienie Payton było bardzo surowe.

Wysoka ruda dziewczyna, chyba nazywała się Rhona, wyglądała na podenerwowaną. Rozłożyła dłoń i zaczęła nakreślać na niej krąg. Wiedziałam, co się stanie. Chciała mnie uwięzić w pierścieniu ognia. Stałam się lwem, ryczącym jak najgłośniej, by przestraszyć zaklinaczy. Nikt nie spodziewał się, że potrafię się przemieniać.

Usłyszałam jak jedna z wiedźm zaczęła coś powoli i rytmicznie inkantować. Rzuciłam się na nią, jakiś zaklinacz zasłonił ją własnym ciałem. Rozdarłam pazurami jego twarz i rozorałam pierś, aż do żeber. Krew wylewała się z niego falami, w rytmie gasnącego serca. Nie było już dla mnie ratunku, znów zabiłam demona. *Jego krew na twoich rękach, jego moc do twoich usług* - słowa Labraida rozbrzmiały echem w mojej głowie.

Wokół buchnęły płomienie, ze strachu zmieniałam się w człowieka. Potykając się, pokonałam dystans dzielący mnie od bramy, obróciłam się, by sprawdzić, jak blisko mnie jest ogień. Widząc całą posiadłość w ogniu dziękowałam bogom, że Labraid jest teraz bezpieczny w Wiedniu. Zaczęłam biec ile sił w nogach. Płomienie podążały za mną, zapalając każde ominięte przeze mnie drzewo.

Byłam naga, ale nie było mi zimno. Czasami ogień smagał moją skórę, cały czas mnie otaczał. Teraz ogień był we mnie. Ja byłam ogniem.,

Nasz plan po ucieczce opierał się głównie na wierze w to, że alchemik, który podarował mi coś tak cennego jak mechaniczne serce *musi* zechcieć mi pomoc. Jestem córką Morrigan, dla Morriganisty to powinien być zaszczyt.

Dotarłam do Paderna jako nietoperz, wleciałam mu do sypialni. Obudziłam go już jako człowiek, owijając się przy okazji jakimś kocem.

- Spokojnie. To ja, Sima. Potrzebuję twojej pomocy – zaczęłam, patrząc na niego błagalnie.

Przerażenie w jego oczach było wielkie gdy się zorientował, że jestem naga.

-Po pierwsze... mógłbyś mi pożyczyć ubrania? - spytałam nieśmiało.

-Payton też tu jest? - zapytał, a pot już perlił się na jego czole.

Chyba jednak nie brak sukni go przestraszył, a możliwość obecności wiedźmy. Pora, by mu zaufać - komuś trzeba, a on jest mi potrzebny.

- Nie, uciekłam od niej - odpowiedziałam bez owijania w bawełnę,

Wyraźnie mu ulżyło.

- To dobrze. Te więdźmy... są złe. Morrigan nie byłaby zadowolona ze sposobu, w jaki cię traktowały.

- Owszem. Matka by się zemściła - *lub już to zrobiła. Byłam jej zemstą*, dodałam w myślach.

Rzadko zdarzają się podwójni zaklinacze, zwykle panują oni nad żywiołami, które nie są przeciwieństwami. Jedynym, jakiego kiedykolwiek spotkałam, był tym, którego sama stworzyłam. Gdy go pierwszy raz spotkałam panował tylko nad wodą. Było to tydzień temu, kiedy przyszedł do Paderna, błagając o pomoc. Wpuściłam go do kamienicy i niechcący dotknęłam. Po mojej ingerencji zaklinał i wodę, i powietrze, co pozwoliło mu wytwarzać lód.

Był dobrym, lecz mocno doświadczonym przez życie mężczyzną, szukającym pomocy u Paderna, jak chyba my wszyscy. Deryn i Labraid nie przepadali za sobą i bardzo się z tym obnosili.

- Zapal tylko TE świecezki, nie cały stół! - krzyczał dziś po raz setny Labraid. Odkąd zamieszkaliśmy w letniej posiadłości Doktora, zbyt serio traktował mój trening.

Ćwiczyłam bez ustanku, raz przemiany, raz zaklinanie ognia. Padern starał się kontrolować mój stan zdrowia, jednak aby nie budzić podejrzeń wpadał tylko raz na miesiąc.

Po tygodniu ciężkich treningów mój organizm się zmienił - byłam silniejsza, już nie taka wychudła i krucha. Miałam mięśnie i nowo odkryte instynkty drapieżnika.

Skupiłam się na świecezkach, zamykając oczy.

- Sima, na piekielną Morrigan! Mówiłem *świeczki*, nie pół podwórka! - krzyczał Labraid, zdeptując dymiącymi butami palącą się trawę. - Mógłbyś? - zwrócił się do Deryna, który tylko machnął ręką.

Kula wody pojawiła się pół metra od twarzy Labraida, a jej rozmiar cały czas się zwiększał, aż fala zalała go od stóp do głów.

Zduśliłam w sobie śmiech. Deryn uznał to za zbędne.

- Cholerni Zaklinacze, nauczcie się wreszcie nad tym panować - syknął rozjuszony Labraid i odszedł.

- Sztywny nieśmiertelny - podsumował Deryn, parodiując zachowanie Labraida.

Znów zaczęłam chichotać. Po raz pierwszy znalazłam w życiu szczęście, mieszkając z przyjaciółmi i ciesząc się rozkoszną wolnością.

- Ostatnio zastanawiałem się, czy w stadzie zmiennych byłabyś Alfa, czy Beta - zaczął Labraid przy kolacji.

Deryn okazał się świetnym kucharzem. Przed jego przybyciem mieliśmy problemy z jedzeniem - ani ja, ani Labraid nie mieliśmy zielonego pojęcia o gotowaniu.

- Teraz, mając moce zaklinacza, i to ognia, chyba byłaby Alfa.

- Aktualnie Alfami są tylko naturalni zmiennokształtni - poinformował nas podwójny zaklinacz z pełnymi ustami, mlaskając niemilosiernie

- Deryn, mógłbyś zdradzić, skąd masz te informacje? - zapytał zaciekawiony nieśmiertelny.

- Widzisz, w przeciwieństwie do niektórych nie byłem zamknięty w złotej klatce przez ostatnie jedenaście lat... Odkąd rozniosła się wieść, że Morrigan naznaczyła jakąś Angielkę na swą córkę, wybuchły wielkie kłótnie między gatunkami demonów, o to kim będziesz. Jak widać nikt nie miał racji. Kiedyś przynależałem do Rady Demonów - obydwój z Labraidem słuchaliśmy z przejęciem. Deryn opowiadał o świecie, do którego należeliśmy, ale nic o nim nie wiedzieliśmy. - Gdy zaczęli przychodzić ludzie przemienieni przypadkowo w nieśmiertelnych i zaklinaczy, byliśmy zdezorientowani. Te przybłądy nie miały pojęcia do czego są tak naprawdę zdolne, jednak często okazywali się znacznie słabsi od naturalnych demonów. Najgorzej było ze zmiennokształtnymi - ci nowi podczas przemian cierpieli straszne katusze. W dodatku przemiany trwały znacznie dłużej niż u naturalnych zmiennych.

- Dotychczas nie spotkaliśmy przypadków łączenia się jakichkolwiek mocy - kontynuował Deryn - więc, z czystym sercem, Sima, zapoczątkowałaś rewolucję.

- Sima jest rewolucją samą w sobie - dodał Labraid, upijając łyk ze swojej filiżanki.

Gdy wszystko wydawało się układać pomyślnie, moje mechaniczne serce zaczęło się dziwnie zachowywać. Po długich badaniach, Padern wezwał mnie do swojego biura w posiadłości wiejskiej. Nie spodziewałam się usłyszeć niczego dobrego.

- Sima, mam złą wiadomość - zaczął doktor

Nie zadawałam niepotrzebnych pytań. Wiedziałam, co się dzieje. Co powie Padern.

- Ty... Ty umierasz. Koła zębate nie wytrzymują już twoich przemian. Nawet pieczęcie nie pomagają.

Wiedziałam, że Labraid wie, umiał czytać w myślach. Jeśli zaproponuje jakiś idiotyczny plan związany z zabiciem go, by uzyskać nieśmiertelność, to się nie zgodzę.

Byłam na skraju załamania. Gdy wreszcie odzyskałam swoje życie, los mi je odbiera. Nie chcę go zmarnować, bo na tym świecie żyje się raz.

Muszę stawić czoła moim lękom i mojej przeszłości. Nie chcę umierać w strachu przed Payton. To ona zasługuje na śmierć, nie ja. Ja jestem ogniem, rewolucją i zemstą. Jestem jej zgubą.

Od kilku już dni z Simą było bardzo źle. W jej pięknych, niegdyś bladoniebieskich oczach teraz tliły się płomienie szaleństwa. Mlecznobiała skóra poszarzała, a sylwetka zmarniała od wiecznych głodówek.

- Sima, do cholery, odłóż ten sztylet!

Miała halucynacje i cały czas mówiła zemście i zabiciu Payton.

- Nie rozumiesz? Jeśli ją zabiję, wszystko się skończy – majaczyła Sima, chwiejąc się na nogach z drżącym ostrzem w ręce.

Zmieniła się w sarnę, spłoszoną brzękiem metalu uderzającego o ziemię - to jej ostrze obito się o podłogę. Znow się przemieniła, tym razem w sikorkę. Jej serce głośno skrzypiało i zgrzytało.

Ponownie stała się człowiekiem, plując krwią i piórami.

- Padern miał rację, ja umieram... Labraidzie, ta wiedźma zginie ze mną.

- Uspokój się, masz gorączkę... Z nią jesteś równie wielkim zagrożeniem dla Payton co mucha czy ślimak.

Pomogłem jej położyć się spać. Będąc pod całkowitym wpływem ziółek od Paderna i piekielnie wysokiej gorączki, stanowiła zagrożenie sama dla siebie. Gdy miałem odejść, złapała mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. Żałowałem, że nie mogę znow poczuć dotyku jej delikatnej skóry, ale to mogło wywołać jakieś niechciane efekty. Wciąż nosiła rękawiczki.

Przyciągnęła mnie do siebie na tyle blisko, że czułem zapach jej mydła. Pachniała malinami i ziołowymi naparami. Gdy mnie pocałowała, byłem zdezorientowany, a ona całkowicie odurzona, kiedy w końcu odwzajemniłem jej pocałunek. Sima stała się bardzo namiętna. Gdy dotknąłem jej twarzy ręką, uświadomiłem sobie, jak rozpalona jest. To była bardzo wysoka gorączka.

- Cholera, jesteś rozpalona. Idź spać, dokończymy... to przy okazji.

- Bez ciebie nie zasnę - była całkowicie odurzona, język jej się plątał, ale nie chciała mnie puścić. Położyłem się obok niej. Uspokoiła się, po czym zamachnęła na mnie sztyletem, dziurawiąc moje szaty.

- Ty masz moc, mówco, i myślę, że chętnie mi ją oddasz - w jej oczach zostało tylko szaleństwo.

- Sima, jesteś odurzona, musisz się uspokoić...

- Muszę ci wyrwać serce, drogi przyjacielu, tylko to może mi pomóc.

Obserwowałem uważnie jej ruchy, ale teraz była nieprzewidywalna. Osoba, której ufałem najbardziej na świecie, chciała mnie zabić. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach.

Oczy Simy zaszyły mgłą na znak przemiany. Tylko w co?

Przybrała postać wilka, lecz nawet warcząc na mnie wyglądała niegroźnie, jak ranne zwierzę. Rzuciła się na mnie z klami. Odepchnąłem ją swoją laską, nie chciałem używać ukrytego w niej ostrza, nie chciałem jej krzywdzić... Znów się przemieniała, jej ciało drżało, a oczy zalały się łzami. Stała się człowiekiem. Mamrotała pod nosem:

- To tak bardzo boli, pomóż mi proszę. Ja nie chcę. To się wymyka z moich rąk, ze mnie. Ja nie chcę. Proszę, proszę, proszę ... - powtarzała ostatnie słowo coraz ciszej.

Podszedłem do niej ostrożnie wydawała się spokojniejsza. Głowę miała spuszczoną, cała się trzęsała. Przybliżyłem się i nachyliłem nad nią.

- Naiwny - szepnęła, zamachując się sztyletem. Nie byłem przygotowany na ten cios, choć mogłem się go spodziewać. Rozcięła mi cały bok, jakby był z masła. Krew trysnęła, zgąłem się w pół. Nieopisany ból duszy i ciała. Dziewczyna, którą kochałem od jedenastu lat, miała doprowadzić do mojej śmierci.

Widziałem nagłe zdziwienie na jej twarzy, kiedy zasłoniła usta dłońmi i zaczęła płakać. Szloch przerywało tylko ciche „przepraszam”. Wzięła moją głowę i położyła na swoich kolanach. Jej łzy co jakiś czas spadały na moją twarz. Delikatnie głaskała mnie po włosach.

Coś zaczęło niepokojąco głośno zgrzytać. Twarz Simy wykrzywiła się w bólu. Z jej ust wyrwał się krzyk. Dziewczyna wiła się w agonii, jęcząc i prosząc, aby to ustało. Jej jęki stawały się dla mnie coraz cichsze i bardziej oddalone – powoli traciłem przytomność.

Sima wciąż walczyła z samą sobą próbując się podnieść. Gdy udało jej się wstać podeszła do okna. Otworzyła je i stanęła na parapecie. Wiatr rozwiewał jej włosy, wyglądała pięknie, jak kiedyś, kiedy jeszcze nie było w niej szaleństwa. Popatrzyła na mnie i obdarzyła uśmiechem. Jej oczy zamarły, a serce przestało skrzypieć. Wtedy uleciało z niej życie, a ciało spadło z trzeciego piętra. Morrigan wzywała nas do siebie, jedno po drugim, przyjmowała swoje dzieci.